


**ANDRZEJ
HORUBAŁA**

Wcale nie jest tak, że napisanie miażdżącej recenzji złej sztuki jest rzeczą przyjemną.

Owszem, można wówczas dać upust ciemnym stronom swej osobowości, tryskać żółcią zrodzoną z fatalnych procesów przemiany materii czy z kolejnej złej cud-diety, można mścić się za nieudane życie i własne niespełnienie artystyczne. Ale w gruncie rzeczy jest to z lekka beznadziejne, łatwiutkie.

Prawdziwą satysfakcję przynosi mordercza recenzja ze sztuki niezłej, a nawet dobrej i bardzo dobrej, gdy krytyk swoim okrucieństwem psuje widzom wzruszenie i stara się obrzydzić coś prawie idealnego. Prawdę mówiąc, takie działania – zarówno w moim wykonaniu, jak i w wykonaniu moich braci w rzeźniczym fachu – cieszą mnie najbardziej: zaburzenie wzniosłości i wytrącenie z podziwu, złośliwy szept przecinający podekscytowane głosy zachwyty bywa wzywaniem do sensownej rozmowy o dziele literackim, teatralnym, plastycznym.

Bo takie z admiracji wytrącanie, niechby i nieco chichotliwy triumf chłodnego analitycznego rozumu nad wzruszeniem, cyniczny sztych to świetny początek analizy własnych stanów duszy, własnych złudzeń, pragnień i dążeń.

Takie więc zachowania cieszą i nawet nasze egzaltowane uroczę kobiety, po pierwszym oburzeniu, z zainteresowaniem i sympatią przysłuchują się temu, co następuje po zburzeniu piramidy pochwał. Taki gest krytyczny jest przecież nie tylko ozdobą konwersacji, ale także znakiem dystansu, wolności i okiem wtajemniczonego puszczonego ponad głowami skorych do wzruszeń naiwnych widzów.

Pamiętam sukcesy w tym względzie Tadeusza Słobodzianka, który pod pseudonimem Jan Koniecpolski w końcówce lat 70. na łamach „Polityki” niszczył całkiem czasem nawet dobre spektakle. Czy jednak rzeczywiście niszczył? Nie, raczej pozwalał czy też nakazywał stawiać poprzeczkę jeszcze wyżej i wyżej.

Czy opublikował gdzieś swoją szyderę z pochodzącego z roku 1982 „Wzlotu” Teatru Ósmego Dnia, spektaklu, gdzie w pięknych songach do wierszy Osipa Mandelstama młodziutka i piękna Ewa Wójciak hipnotyzowała publiczność, tworząc jedno z najwspanialszych widowisk teatru stanu wojennego?

Chyba nie zamieścił nigdzie swojego zjadliwego komentarza, bo był to czas bojkotu i zwarcia szeregów, gdy Słobodzianek-Koniecpolski nie kolaborował z oficjal-


TEATR

Stalin niezwyciężony

nymi pismami, tylko podobnie jak wielu jego rówieśników, nie wiedząc nawet o tym, szykował się do skoku w wolność, trawiąc czas na picu i przeklinaniu naszej epoki.

Tadeusz Słobodzianek rzucił więc wtedy lekceważąco, że sztuka jak sztuka, owszem:

Wójciak chciała sobie pośpiewać, to i zrobili jej spektakl. To było naprawdę pchnięcie. Obrzydliwe! Wstrętne. On takie rzeczy, a my tu zapatrzeni w piękną, szczupłą blondynkę, rzucającą wyzwanie totalitaryzmowi, przeżywamy naprawdę wspaniałe wzloty.



Jaja niewyjęte: Lenin szamocze się z mienszewikiem Martowem w czasie narady w Londynie. FOT. KRZYSZTOF GIELIŃSKI/TEATR DRAMATYCZNY

Sluchając, jak poeta, niszczone przez Stalina, zsyłany, prześladowany, podejmujący samobójcze próby, cedzi:

*Pozbawiając mnie móż rozmochu i rozbiegu,
Dając pod stopę ziemi przymusowej aka,
Jakiście osiągnęli zysk? Niewiele tego.
Nie odbierzecie mi poruszeń moich warg...*

Każdy z nas był poetą, a nasze kobiety były boleśnie pięknymi muzami.

Czerpaliśmy otuchę dla siebie. W zimnym kraju, skazanym na wegetację w stalinowskiej zonie, który w latach 80. pod wodzą groteskowego generała i jego potwornego błażna – Jerzego Urbana, odreagowującego kompleksy obcego poczwara, prawdziwą oazą wolności była salka, w której Teatr Ósmego Dnia i w naszym imieniu wznosił naiwny toast za zachodnią kulturę, za zakazany świat, za którym tęskniliśmy nie mniej silnie od Mandelstama z roku 1931:

*Wypiję za [...] Elizejskich Pól benzynę,
Za bukiet róż za szkłem rolls-royce'a i za paryskie
płótno słynne [...].
Lecz nie wiem jeszcze, czym wzniesić toast za wszystko,
co mi wytykano:
Asti spumante pić wesołe czy wino z piwnic Watykanu...*

A po chwili wsłuchiwalismy się w wi-
brujący ekstatyczny głos płynący z opiętej
ciasno blond włosami czaszki Ewy Wój-
ciak:

*Twoje wąskie ramiona spłyną krwią pod biczami,
Spłyną krwią pod biczami, ugną się pod jukami [...]*

*Twoje stopy wrażliwe będą szkło deptać boso,
Będą szkło deptać boso, zwilżać piach krwawą rosą.*

*Mogę dla ciebie tylko czarną świeczką zapłonąć,
Czarną świeczką zapłonąć, nawet modliłw się bojąc.*

I tych wzruszeń nie odbierze nam nikt.
Patrzyliśmy, jak czworo aktorów wcielając

się w czekistów, zesłańców, donosicieli, w poetę i muzeę, unosi nas ponad świat naszych marnych oprawców w krainę prawdy i piękna, gdzie byliśmy wolni od Stalina, Jaruzelskiego i Urbana:

*Zabłąkałem się w niebie... Co poczuję,
Powiedz, jeśli do nieba ci blisko.
Łatwiej było Dantemu je pociąć,
W dziewięć krągłych atletycznych dysków.*

I choć nie rozumieliśmy wszystkich kulturowych aluzji z wierszy akmeisty, to przecież było jasne, że utwory te, kontrpunktowane scenami rewizji, przesłuchań, szyderstwem oprawców, relacjami o rozmowach i rozkazach Stalina, fragmentami ich raportów, znaczą triumf i są czymś więcej niż „akademią ku czci”: aktorzy przerysowanym językiem teatru alternatywnego opowiadali wstrząsającą i głęboką historię o pojedynku geniusza ze zbrodniarzem, piękna ze złem.

Historię o okrutnym Stalinie – niespełnionym poecie mającym słabość do pisarzy i o artyście, który zwyciężał. Zapatrzony w śródziemnomorską kulturę, rozmiłowany w Europie, zwyciężał Azję i despotyzm. Opowieść może i nieco uproszczona, jak i tłumaczenia Barańczaka, ale wówczas, w czasie stanu wojennego, będąca koniecznym oddechem nadziei, marzeniem o słońcu, o wolności, o twórczości.

Czy zepsuł mi swoją uwagę Tadeusz Słobodzianek radość z obcowania ze sztuką? Czy miał rację? Może i miał. Ewa Wójciak może i chciała sobie pośpiewać. Ale dzięki temu my mogliśmy sobie posłuchać!

Do zakurzonego, znalezionego w piwnicy grundiga mk 232 automatic włożyłem magnetofonową kasetę z zapisem spektaklu, wydaną przez podziemne wydawnictwo CDN w 1983 r. No nie, to jednak jest wielkie przedstawienie. I oczywiście Adam Pomorski, niestrudzony poprawiacz tłumaczeń z rosyjskiego, może krytykować Barańczaka za piosenkowe przekłady i oferować swoją fascynującą pracę translatorską (Osip Mandelstam, „Nieograbiony i nierozgromiony”, Warszawa 2011), a Ewa Wójciak może iść lewacką drogą, ale to było wielkie przedstawienie. I te tłumaczenia, i ten głos na zawsze wiązać się będą dla mnie z Mandelstamem.

Oczywiście PRL-owski licencyjny magnetofon nie dał mi się długo napawać spektaklem i zeżarł mi nagranie, bo jakżeby mogło być inaczej. Prawdę powiedziawszy, gdy usłyszałem charakterystyczny jazgot, a potem mocowałem się z taśmą wciągniętą gdzieś między tryby, odczułem jakąś ulgę i spełnienie, bo wiedziałem, że tak musi się właśnie stać, że bezkarnie nie przeniosę się w świat lat 80. I gdy świadom, że nie da się wypłatać taśmą, naciągnąwszy ją,

■ zdecydowałem się wreszcie na mocniejsze szarpnięcie i przerwanie, pomyślałem: dobra, dość tego roztkliwiania się sentymentalnymi podróży, wróćmy do współczesności.

Czy zasiadając do pisania recenzji ze sztuki Słobodzianka „Młody Stalin”, liczyłem się z możliwością słodkiej zemsty za tamten sztych wymierzony w ukochany spektakl? Niestety nie. Bo wszystko, co zdarzyło się w sobotni wieczór, 6 kwietnia, było tak żalosne, tak smętne, tak niestawiające oporu, że nie obiecywało jakiegokolwiek satysfakcji.

Czegóż to nie zapowiadał dramaturg? I artystyczną zemstę za los rodziców – syberyjskich zesańców, którzy później, wróciwszy w latach 50. do Polski, pałali do Józefa Wisarionowicza dziwną mieszaniną miłości oraz nienawiści, i rozgrywkę z duetem Demirski/Strzępka, i mistrzowski pokaz, jak należy robić teatr mieszczkański, i szarżę przeciw środowisku „Krytyki Politycznej”, która niebezpiecznie ulega czarowi bolszewizmu. Czytając poprzedzające premierę wypowiedzi Słobodzianka w „Newsweeku”, dojąć można było do wniosku, że dyrektor Teatru Dramatycznego odpali jakieś niezwykle arcydzieło, które znaczyć będzie nowy rozdział w historii polskiej sceny.

To, czego nie udało się zrobić Sławomirowi Mrożkowi, który w „Portrecie” chciał właśnie zrozumieć i przewyżczyć to splątane uczucie hassliebe żywione wobec sowieckiego zbrodniarza, miał dokonać wielki Tadeusz wspólnie ze swoim przyjacielem i inscenizatorem – Ondrejem Spisakiem. To, co przed rewolucją październikową wypowiedzieli w proroczych wizjach jedynie najwięksi – Dostojewski i Conrad – miało zyskać zwieńczenie w sztuce o młodym Stalinie.

WYSZŁA ŻENADA

Rozpoczynająca się drętym, prawie podręcznikowym prologiem: kraszoną nazwami gruzińskich potraw rozmową ojca z synem przygotowujących uroczystość weselną dla młodego Josifa Dżugaszwilego, przechodząca potem w niby atrakcyjny dla mieszczan obrazek biesiady z obowiązkowymi i niestety niezdarnymi tańcami ludowymi oraz mającymi pretensję do psychoanalitycznych trópów opowieściami młodego Soso o braku ojca...

A później jest jeszcze gorzej: kawiarniane sceny z Wiednia, gdzie nad austriackimi smakołykami pochylają się bohaterowie XX w., czasem nieświadomi jeszcze ról, które są im pisane: Hitler, Wittgenstein, Freud



Sztuka Słobodzianka jest tak słaba, że na nic recenzentkie złośliwości, paradoksy, na nic finezja FOT. KRZYSZTOF GIELINSKI/TEATR DRAMATYCZNY

oraz Jung jak żywi i my wiemy, i rozpoznajemy, a jeśli nie rozpoznajemy, to facet wyciągnie rękę niczym w pozdrowieniu „Heil” albo się przedstawi. Toporność tych obrazów winna skłonić Słobodzianka i Spisaka do przyjrzenia się temu, jak takie rzeczy rozgrywa błyskotliwy duet Demirski/Strzępka, będący w stanie grać na wielu planach skojarzeń, wprowadzać na scenę ikony masowej wyobraźni i poważnej historii, potrafiący budować więź z inteligencją publicznością bez serwowania humoru z amatorskich kabaretów. Naprawdę mistrz Słobodzianek mógłby sporo nauczyć się od młodszych kolegów.

A następne sceny? Emigracyjne spory komunistów, świetnie opisane przez Conrada w powieści „W oczach Zachodu”, której sceniczną adaptację dokonał przez Zygmunta Hübnera recenzował zresztą Koniecpcolski-Słobodzianek, tu pokazywane tak płasko, że aż wycić się chce. Ale Słobodzianek to rzemieślnik, więc następuje zmiana tempa i element muzyczny – kabaretowa scenka z krakowskiej Jamy Michalikowej. Można się wyprostować w fotelu, można zaklaskać. Uff. Zbyt grubymi nićmi jednak to szyte.

I taka jest całość. Zero empatii z bohaterami, żadnych przemian wewnętrznych, żadnych wielkich sporów racji. Słobodzianek, któremu wydaje się, że wyśmienicie opanował materię teatru i dobrze wie, jak pogrywać z publicznością, pokazuje twór pozbawiony prawdziwych emocji i dziwnie cyniczny. Cicho cicho głośno, wolno wolno szybko, taniec żarcik dialog, scena zbiorowa piosenka powtórka powtórka...

Chciałby naprawdę Słobodzianek powiedzieć coś młodym z „Krytyki Politycznej”? Chciałby ostrzec przed rodzącym się bolszewizmem? To niech pochyli się nad rokiem 2011, kiedy to uniwersyteckie pięknoduchy z „Krytyki” wpuściły do swego „Nowego Wspaniałego Świata” prawdziwych bojówkarzy niemieckiej Antify, niech przyjrzy się tamtym emocjom, a potem odniesie je do fascynacji przemocą, która w połączeniu z niecierpliwym projektem zmiany świata zgotowała

już tyle nieszczęść. Ale do tego rodzaju gestu potrzeba pokory i porzucenia zadufania starego teatralnego wyjadacza.

Banalny spektakl Słobodzianka przez okoliczności premiery utrwalił tylko przekonanie, że Stalin nadal króluje nad Wisłą.

Miejsce premiery, Teatr Dramatyczny, który mieści się w Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina, nie zostało wyegzorcyzmowane – jak sobie zamarzył autor – przez opowieść o młodości sowieckiego zbrodniarza. I architektoniczny monu-

ment wciąż szydlerczo pokazuje zwycięstwo Józefa Wisarionowicza nad Polakami.

Ba, skoro na premierze sztuki Słobodzianka zjawia się nie tylko premier Mazowiecki, ale także Jerzy Urban, to o czym my w ogóle tutaj do diabła mówimy? Ciekaw jestem, co czuła osoba, gdy wypisywała zaproszenie na spektakl „Młody Stalin” dla człowieka, który wskazał księdza Jerzego Popiełuszkę jako cel dla esbeckich

zabójców? Naprawdę, czy pracownik sekretariatu teatru, gdy umieszcza nazwisko „Urban” na kopercie, nie ma świadomości, że przekracza cywilizacyjne normy? I czy nie od tego należałoby, panie Tadeuszu, zacząć opowieść o Stalinie w nas? •



REŻ. LECH RACZAK
„WZLOT”
TEATR ÓSMEGO DNIA,
POZNAŃ 1982



REŻ. ONDREJ SPISAK
„MŁODY STALIN”
TEATR DRAMATYCZNY WARSZAWA,
PREMIERA: KWIECIEŃ 2013